ŚWIATŁO

Rok VII. Bytom G.-Sz., 1. Maja 1893. Nr. 9.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

KAMIEŃ W OLGIENIANACH.

(Ciąg dalszy.)

Ja i inni baczni na to krzyczym: dla Boga dobrodzieju! na co wasza miłość psujesz tak piękną kulbakę?

On przepruł szeroko raz i drugi, aż tu jak posypią się czerwieńce!!!

Jezus, Marya, Józef! — krzyknąłem, — bo rozumiałem, że to czary. Ale on porze i porze a złoto jak z worków coraz nowych sypie się...

— Gwałt! — krzyknąłem znowu, — ja tego nie przedałem.

— Przedałeś wszystko chłystku, — rzekł spokojnie Baranowski, — zbierając dukaty garściami.

— Nie przedałem!

Nakoniec chwyciłem za dukaty, a Baranowski mnie za kark. On mąż jak dąb! rozcisnął garść moją, jak zmarzłe jabłko i wypychając mię za drzwi, »idźże do biesa na targi!« wrzasnął. Hałasowałem, przeklinałem się jak opętany, targałem sobie uszy, wąsy i czuprynę, ale nic to nie pomogło; tylko zebrało się koło mnie pełno ludzi, śmiejących się ze mnie jak z waryata, lub nawiedzonego. A na większą moją konfuzyę, Baranowski wyskoczył znowu z kwatery jakby czegoś zapomniał i wbijając mi jakiś rożek za nadrę, zaśpiewał nad uchem:

»Tobie rożek z tabaką,
A mnie konik z kulbaką,
Towarzyszu mój!«

To mnie do ostatniej złości doprowadziło i postanowiłem, bo może już djabeł do mnie i przystępował wir głową zamącić. Rozepchnąłem więc tłumy, i poleciałem do jeziora o kilka staj tam będącego, już byłem przy brzegu, gdy mię dopędził Prokosz, sługa hetmański od namiotów — stój! — krzyknął on — gdzie lecisz?

— Do jeziora, — odpowiedziałem.

— Topić się?

— A ha!

— Oddajże mi dziewięćdziesiąt pięć talarów, któreś wziął za konia, bo tam na dnie nie będą tobie potrzebne.

— Przypomniałem sobie wtenczas, że mam talarki w kieszeni, i stanąłem jak wryty.

— A co bratku, — rzekł znowu Prokosz, — nie topisz się?

Milczałem, ale odwróciłem się tyłem do jeziora.

— No cóż? albo top się i oddaj mi talary, albo pójdziem i jednego na miód przepijem.

Zgodziłem się na ten projekt, uściskałem poczciwego kolegę, który ze szpon szatańskich mię wyrwał. Ale odtąd postanowiłem wszystko co złapię pruć, choćby tam i brzuchy nieprzyjacielskie... Więc odprowadziwszy waszą miłość i podkarmiwszy konika, wracam wnet do wojska: powiadają, że nie podda się tak prędko; może więc Pan Bóg miłosierny nagrodzi mi szkodę kircholmską.

— Dla czegoż wyjechałeś z obozu? trzeba było wolej tam się pilnować.

— Widzisz bo wasza miłość: najprzód musiałem powolne służby moje okazać panu kawalerowi maltańskiemu, bo jego chleb jem; a powtóre i to najbardziej, że jakoś serce moje uchwyciło się waszmości, od owego dnia, gdym tak rezolutnie pomógł waszmości do wiktoryi nad tym brodatiaszem, który was porąbał, a któremu waszmość potem tak dogodziłeś, że bodaj poszedł zkąd już nie wracają. Widząc ja z obozu, że nasi górą, że i załogę odpierają do miasta, wyprawiłem się na plac i położyłem się tam w rowie, czekając bezpiecznie, aż się wszystko zakończy. Leżę cicho, wtem usłyszę koło mnie jakiś tertes i krzyk; wyglądam ostróżnie jak lis z nory, i myślę sobie, że za daleko zabrnąłem, aż to waszmość się borukasz i łamiesz z jakimś, można mówić, olbrzymem zawziętym i nieuważającym na to, że został od swoich; krew waszmości ciekła już po twarzy. — Ej! powiedziałem sobie w duchu, śmiało Filipku! Daj salwę mężnemu rycerzowi! Wyskoczyłem więc z rowu jak z procy; a krzyknąwszy po tatarsku hała, hała, za jednym susem zerwałem kołpak z głowy brodatiasza.

— Prawda to jest panie Filipie, przyszedłeś mi w sukurs w sam czas, nie zapomnę ci tego nigdy; ale wolałbym gdybyś go był schwycił za ręce, bo lubom go wzajemnie ciął przez łeb bronił się jednak mężnie, i mnie jeszcze ranił po ręku.

— Ale bo ja pomiarkowałem w rowie, że jak porwę kołpak i odkryję mu goły łeb, to już łatwiej będzie waszmości ugodzić go.

— Tak, ale przyznaj się panie Filipie, że sobolowy ów kołpak i błyszczący na nim łańcuch, mógł także do tego wojennego fortelu być tobie powodem, rzekł uśmiechając się młodzieniec.

— He! cóż kiedy pokazało się potem, że sobole podkurzane, a łańcuch miedziany, pozłacany tylko.

III.

Już też i posilili się podróżni, konie się popasły, napoił je Filip w blizkiej strudze, osiodłał i ujuczył regularnie; puścili się zatem w dalszą podróż.

Po ujechaniu jeszcze z półtorej mili, wybrnąwszy z lasów na otwartsze pole, spostrzegli zdala wieżyczkę kościelną i krzyż na niej. Pancerny podjął się na strzemionach, utkwił wzrok w krzyż ten i westchnął, a potem się przeżegnał.

— Co to znaczy? — zapytał Filip.

— Jeżeli moja pamięć po latach dwudziestu nie zawodzi mnie, zdaje się, że zbliżamy się, do dóbr pana Kiszki*), na którego dwór woził mnie małego niekiedy ojciec, i że ten kościołek jest parafialnym miejsca mego urodzenia... okolice wszystkie jakby we śnie przypominają mi się... ten gaj na prawo... tam w lipach dwór za kościołem... a tam oto cmentarz i krzyże!... Cmentarz!... tam moja matka spoczywa... a broń Boże... i znowu westchnął głęboko, i nie dokończył, ale czytelnik zgadnie łatwo myśli, które się na cmentarzu zbiegły ze wspomnieniem umarłej matki i z niepewnością o życie ojca.

— Trzeba więc tu powziąć języka, mówiąc po żołniersku, — rzekł Filip; — owo ortaj na polu, pojedziemy.

Zwrócił konia towarzysz, lecz wnet go nazad cofnął.

— Oh! nie, mój Filipie, — rzekł, — nie, jedźmy wolej prędzej pod ko-

*) Ziemie te opisywane w owym wieku, były w istocie własnością znakomitego niegdyś w Litwie rodu Kiszków.

ściół, przypomnę go niezawodnie, jeżeli jest ten sam... Przymusił tu konia do biegu... i wstrzymał go wkrótce, znowu zwolna postępując... serce jego niespokojne biło gwałtownie, i raz gorącem żądaniem rozwiązania wątpliwości pałało, to pragnęłoby przedłużyć lękliwe oczekiwanie, znośniejsze nad fatalną pewność... Szczęśliwy kto w życiu spokojnem i jednostajnem, takich chwil męczących nie doznał.

Podjechali więc pod kościół. Jak tylko zblizka ujrzał go pancerny, — tenże sam Filipie kochany! tenże sam! — zawołał! i chyżo zeskoczywszy z konia, już klęczał na krużganku kościelnym, a całował z uniesieniem kamienie, na których ukląkł, a bujnemi, lejącemi się poniewolnie jak ze źródła ze źrenic jego, oblewał je łzami. Pierwsze uczucie miłości rodzinnego gniazda, pierwsze odetchnienie powietrzem, które dziecięcą pierś jego żywiło, takim go ogarnęło i żalem i rozkoszą, i uniesieniem i trwogą, że patrząc nań rzekłbyś, że ten człowiek nie wydoła tylu wrażeniom, że omdleje pod ich napływem. Filip nawet patrząc na to, rękawem od opończy oczy swe ocierał.

— A jakże ten kościół i to miejsce nazywa się? — zapytał on, przerywając może umyślnie rozrzewnienie młodzieńca.

— Jak się nazywa? poczekaj przypomnę zaraz... Aj nie wiem, czy przypomnę, — rzekł po namyśle, — powstając nakoniec z klęczków.

Wtem z małej chatki będącej w podle, a nad której drzwiami, prosty krzyż drewniany oznaczał jako i dziś jeszcze gdzieniegdzie zobaczyć można, ubogi dla starców i kalek parafialnych przytułek, wyszedł chromy staruszek i widząc obcych przybyłych pod kościołem; — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł.

— Na wieki wieków! — odpowiedział Filip i dodał: — a jak się nazywa, staruszku, ten kościołek i to miejsce?

— Widać, że z daleka przybywacie — odpowiedział starzec — ale to nie dziwota; teraz codzień widzim żołnierzy z całego świata tędy przechodzących, a wszyscy modlą się i mają litość nad nami dziadami szpitalnymi, a my zatem prosim Boga, aby im na wojaczce szczęścił. To mój dobrodzieju Gierwiaty.

— Ach! tak Gierwiaty! — przerwał Juljan, — (bo to było imię młodzieńca). Przypominam, Gierwiaty!... a dalekoż ztąd do Olgienian? Oh! tego nazwiska nigdy nie zapomniałem. — Do Olgienian dobrodzieju dobra mila. — A czy żyje tam?... i głos mu się przeciął i odwaga opuściła, i nogi pod nim osłabły tak, że musiał oprzeć się o kościelną ścianę. — A czy żyje tam... mówił drżącemi usty, pan Fiedor Starosielski!

— A żyje stary, — odrzekł szpitalnik, — żyje jeszcze i co niedziela bywa tu w kościele, a dla nas biednych nie jeden grosz do skarbony przyrzuca. Niech mu Bóg za to wieku przedłuża.

Julian odetchnął teraz całą piersią, jakby z niej cisnący go dotąd spadł kamień; pot mu na czoło w bujnych kroplach wystąpił, jak po przesileniu mocnej choroby i już swobodniejszym głosem zapytał:

— Jakże żyje staruszek? kto o nim ma staranie?

— Mieszka z nim jego siostra stara, ale jeszcze krzepka babula; ona ład w domu prowadzi, a oboje i przy mszach św., każą modlić się za szczęśliwy powrót z niewoli tatarskiej, syna jego jedynaka, którego gdzieś tam i kiedyś na Ukrainie ci poganie mu ukradli czy gwałtem zabrali.

— Ruszajmy! — rzekł Julian, — nie chcąc już ani chwili tracić czasu; obdarzył więc starca i dosiadł konia.

IV.

— Trzebaby się popytać drogi, — rzekł Filip. — Nie, spuszczam się na moją pamięć; zdaje się, że trafię, bo mnie małemu dziecinie pozwalał niegdyś ojciec wózkiem i spokojnym koniem wozić siebie do kościoła. Tu wraz powinna być drożka na lewo z gościńca, potem kilka wiosek blisko drogi, potem borek i za nim Olgieniany. — No, przecież dał nam Pan Bóg znaleść czegośmy szukali; ale bez obrazy waszej

miłości, — rzekł znowu Filip, — ciekawość mnie bierze zapytać, jakim sposobem to się stało, żeś się waszmość tak zgubił z rodzicielskiego domu?

— Długo to było rozpowiadać ci, kochany Filipie, wszystkie przygody mojego życie: gdybyś mi był przed kilką dniami dał to pytanie, możebym łatwiej ciekawość twą zaspokoił, teraz nie mamy już na to i czasu, i sam widzisz, że nie jestem w stanie; po krótce więc tylko powiem. Miałem lat ośm czy dziewięć, gdy rodzic mój utracił żonę swoją a moją matkę, żałośny on był bardzo po swej wiernej towarzyszce, i tem boleśniej mu było, że jako starszy od niej, spodziewał się raczej ją owdowić, niż sam po niej zostać wdowcem.

Ręką już prawie skrzepłą włożyła ona na mnie, z ostatniem błogosławieństwem relikwiarzyk maleńki srebrny, w kształcie zamkniętej książeczki, w którym jest partykuła krzyża św., a który i teraz na piersiach noszę. On mię zapewnie nieraz, przy wstawieniu się jej do tronu Boskiego, w rozmaitych przygodach mego życia uchronił, i teraz może prowadzi mnie cudownie do ojca... Oh! nigdy nie zapomnę tej ciężkiej godziny skonania mej matki!... pamiętam wszystko jak dzisiaj... ona trzymała gorejącą gromnicę... ksiądz nad nią mówił pacierze... ojciec obumierał po kilkakrotnie z żalu... zachodziłem się od płaczu, i wszyscy domownicy płakali.

W kilka potem miesięcy wyjechaliśmy z ojcem w daleką podróż, jak się później dowiedziałem, na Ukrainę, do siostry mojego ojca, a mojej ciotki. Dowiedziawszy się ona o stanie wdowim brata, sama wdowa bezdzietna, postanowiła porzucić na zawsze odległe strony, do których ją zamęście zaprowadziło, powrócić tutaj, osiąść przy bracie i zastąpić mnie matkę. Pocieszony tem jej przywiązaniem ojciec mój, nie zwlekał odjazdu; i po długiej podróży, stanęliśmy na miejscu. Ciotka moja przyjęła nas ze łzami...

— Otóż drożka na lewo! taż sama! taż sama, — zawołał z radością Julian. — O! trafimy, kochany Filipie! trafimy.

— Chwała Bogu! ale cóż potem było, — rzekł ciekawy Brześniak.

— Potem po kilkotygodniowej naszej tam bytności, gdyśmy już wybierali się na powrót, i tem rychlej, że chodziły wieści o Tatarach; mój ojciec dla ukończenia wszelkich spraw siostry, opuszczającej na zawsze kilkunastoletnie tam swe siedlisko, pojechał do blizkiego miasteczka... gdy nagle i niespodzianie jednego ranku, te poczwary nie ludzie, napadli i objęli nasze całe domostwo: w mgnieniu oka złupili i zrabowali wszystko. Ciotkę moją, jak mi się wtenczas wydawało, zabito; ale, jeżeli to ona, jak powiadał dziadek ten szpitalny, mieszka przy ojcu moim, to widać wyleczyła się z ran jej natenczas zadanych. Czeladzi część wycięto, a część rozpierzchła się w lasy; słowem w kilku godzinach z całego domostwa i gospodarstwa zostały tylko niedopalone głównie i popioły...

— Zapewnie wiesz choć z powieści, co to są tatarskie zagony, bo i krzyczeć umiesz po tatarsku.

— A był psu brat Tatar jakiś przy stadninach pana hetmana Zamojskiego, i krzyczał zwyczajnie na rozhukanych ogierów: hała! hała! więc i ja wiem że to po tatarsku.

— Mnie, — mówił dalej Julian, — porwał jakiś z tych szatanów, wsadził na szkapę powodną między torby i juki, przywiązał jeszcze abym nie spadł, i powiózł; a nie pamiętałem co się ze mną działo.

Przez kilka dni, pogany te zbytkowali po naszym kraju, więźniów coraz więcej zabierali i z sobą wlekli. Dobrze mam w pamięci, jak mój opiekun karmiąc mię wrzekomo, lał mi w gardło mleko kobyle i gęstą kaszą dławił... Opowiadając tak Julian, topił ostrogi między żebra swojego konia, a Filip własnego łukiem pobudzał, lecz słabe zwierzęta nie odpowiadały niecierpliwości jeźdzców, i podskakując tylko na miejscu, wlokły się powoli jak przedtem.

— Nie długo jednak tłuszcza ta niedowiarków pastwiła się nad naszym krajem i ludem — mówił pancerny; —

na trzecim czy czwartym dniu, rycerstwo nasze dosięgło ich zgromadzonych już w czambuł, rozdzielających łupy, i mających wnet ruszyć do swoich stepów napowrót. Nie przyszli nawet do sprawy, odrzekli się zdobyczy, i mnogiej liczby gnanej w jassyr ludności naszej; wielu ich padło pod szablą, reszta uciekła, a mój opiekun i karmiciel nie mogąc salwować się jak inni, mniej chciwy, ucieczką, bo swoich ciężkich juków nie odciął z konia, dostał kopiją w plecy, która mu nawskroś brzuch przepruła; leżał więc, gryzł ziemię i chrapał oddając duszę djabłu.

(Dokończenie nastąpi.)

Marya Leszczyńska.

Marya Leszczyńska urodziła się w Poznaniu dnia 23 Czerwca 1703 r. Matka Katarzyna z Opalińskich, zacnością swą dorównywała małżonkowi, który był niezawodnie niepospolitym człowiekiem; a w życiu domowem delikatna natura jego, miała stokrotne pole okazania swych przymiotów. Wiadomo jak ciężkie koleje czekały ich rodzinę. Leszczyński przez część narodu wybrany królem, musiał jednak Warszawę porzucić, uchodząc przed potężniejszym a zwłaszcza szczęśliwszym przeciwnikiem. Boleśnie mu było własny kraj porzucać i byłby się chętnie wyrzekł wszelkich ambitnych celów, gdyby Karol XII, ufając w swą gwiazdę i w królewskie prawo Stanisława, nie był go utrzymywał w wytrwałem obstawaniu w zamiarach. Związany honorem i wdzięcznością, musiał działać solidarnie, tem więcej, że to o niego chodziło właśnie, a Karol zapalił się do słusznej i sympatycznej sprawy, z namiętnością gracza, nawykłego do stanowczej i świetnej wygranej.

Obozowe życie pędzone przez rodziców, wcześnie dało się Maryi we znaki; roczną dziecinę zapomniano w żłobie stajenki, gdy w pośpiechu z nocnego popasu w karczemce, przed nadciągającem wojskiem Saskiem, uchodzić wypadło. Po przegranej Pułtawskiej garstka stronników Stanisława coraz się zmniejszała; trzeba było na ciężką dolę tułaczy się skazać. Sześcioletnia dzieweczka opuściła kraj, by go więcej nie oglądać. Naówczas żyła i starsza siostra Anna, towarzyszyła im wszystkim i sędziwa babka (Anna z Jabłonowskich), gdy wyruszono do Szczecina na Pomorzu. Było to tylko chwilowe miejsce zamieszkania, bo król szwedzki powodowany serdeczną przyjaźnią, a przytem pragnąc Leszczyńskiego utrzymać na stopie kandydata do tronu, ofiarował mu obok znacznych dochodów, księztwo Dwóch Mostów na zamieszkanie. Znalazło się kilku wiernych przyjaciół, gotowych dzielić złą i dobrą dolę z nieszczęśliwym królem. Towarzyszyli mu na obczyznie Stanisław Poniatowski, generał Szwedzki, osobisty przyjaciel Karola; Michał Tarło, niegdyś kuchmistrz koronny i wojewodzic Smoleński, tęgi rycerz, znamienity mówca, cioteczny brat Leszczyńskiej; Krzysztof Urbanowicz i Jerzy Kryszpin, obaj pułkownicy w wojsku szwedzkiem, odznaczyli się męztwem w czasie tureckiej wojny. Poniatowski mianowany namiestnikiem w księztwie Dwóchmostów, uprzedził tam królewską rodzinę dla robienia przygotowań. Dawny gubernator Baron Strahlenheim, zdał rządy kraiku w jego ręce, a króla przyjmował z przynależnemi ukoronowanej głowie honorami, zastosowując się do woli Karola. Stanisław skromny i delikatny z natury, żadnej wagi nie przywiązywał do tego, owszem wybrał sobie na mieszkanie gmach przeznaczony na akademią, (której projekt nie przyszedł do skutku), nie chcąc zajmować książęcego zamku. Dziś już ani śladu niema tego zamieszkania.

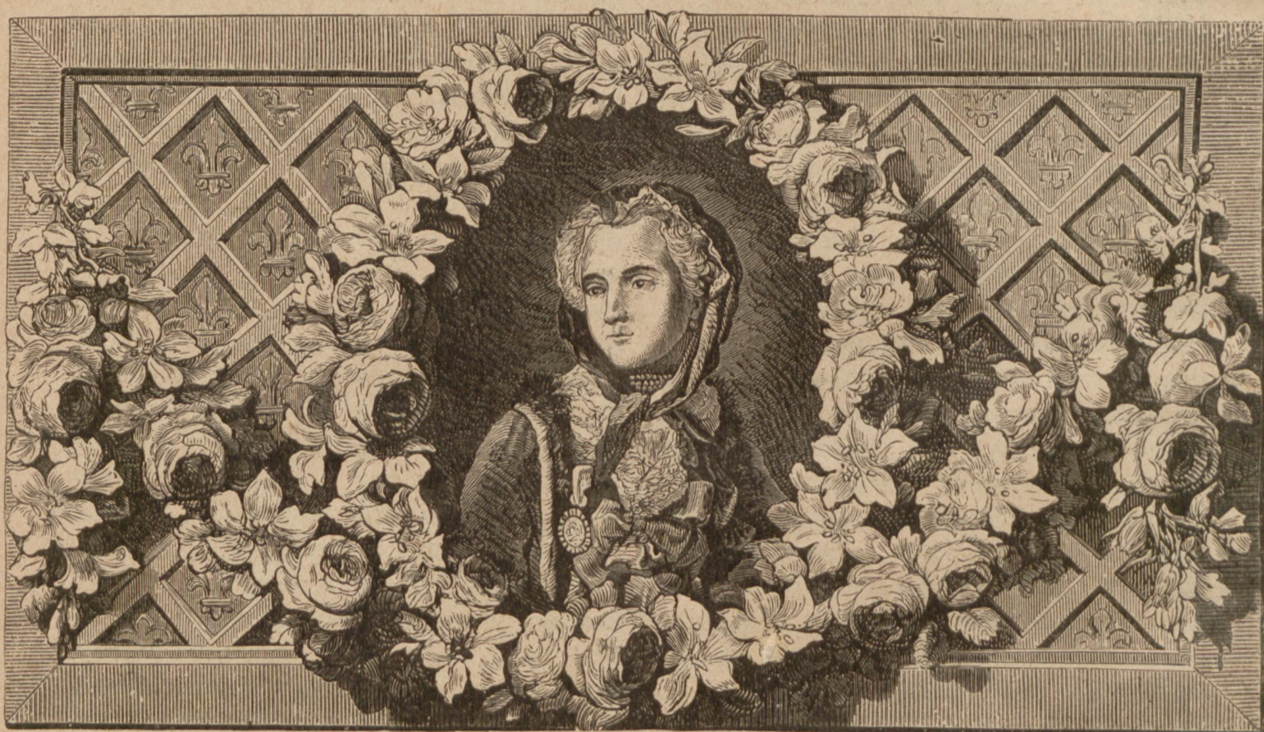
Nadreńska Bawarya mieści w sobie wiele piękności. Letnia rezydencya książąt Czyflik (Tschiflik) przypadła też tu-

łaczom naszym w chwilowe posiadanie i miała dla nich urok podwójny, bo nietylko piękną lecz zaciszną, samotną i ustronną była, co najlepiej obecnemu położeniu ich odpowiadało.

Leszczyński potrafił sobie urządzić siedzibę podług potrzeby serca i wymagań dobrego smaku; sztuka posiłkowała naturę, stworzono całość prawdziwie wytworną.

Ów król wyzuty z tronu, godny lepszej doli, budził w Europie żywe współczucie; odwiedzali go liczni cudzoziemcy, a Szwedzi umyślnie w tym celu wysłani, wszelkimi siłami starali się mu umilić pobyt na obczyźnie. Odbywały się więc polowania, których król był lubownikiem i przejażdżki w sąsiednią okolicę. Cała rodzina ze Szwecyi sprowadzona, osiadła w Dwóchmostach. Po stracie szesnastoletniej córki Anny, miłość rodzicielska zlała się na pozostałą jedynaczkę, która odebrała wzorowe wychowanie. Polskie cnoty przewiezione na grunt cudzy, przyczyniły się do wytworzenia patryarchalnego, swojskiego życia, w szczupłem kółku wybranych. Szeroko się rozchodziła sława tego domu, który, zdaniem współczesnych, podobniejszym był do klasztoru niż do siedziby królewskiej, taką miał wyjątkową cechę zacności, rozumu, prostoty. Owa ludzkość, przystępność, uprzejmość, które zdobić miały kiedyś królowę francuzką, były jej prawem dziedzictwa przekazane przez rodziców.

W Dwóch Mostach życie upływało cicho i użytecznie. Światły ojciec cały czas swój poświęcał na kształcenie córki, w czem żona i ochmistrzyni Moszczyńska mu dopomagały. Jednakże i w tem skromnem zaciszu Leszczyński nie był wolnym od napaści i o mało że nie padł ofiarą spisku, zawiązanego w Lipsku przez 12 oficerów. Nikt nie wątpił, że to była Saska sprawka. Z powodu rozgłosu jaki przybrała, August II widział się w konieczności wystąpienia z publiczną protestacyą, broniąc się od przypisywanej sobie zbrodni; zamach ten bowiem wywołał najżywsze oburzenie w Europie.



Marya Leszczyńska. (Obacz artykuł na str. 133.)

Leszczyński darował życie i wolność winowajcom, mimo nadanego sobie prawa przez Gabinet szwedzki, ukarania ich podług woli. Zdziwienie ich i wdzięczność nie miały granic. Fakt ten jednak rodzinę Leszczyńskich pobudził do smutnych obaw. Trzy tkliwe serca kobiece, biły mocno niespokojną trwogą, za każdem wyruszeniem się Stanisława z domu. Co się dało raz uniknąć, mogło się z łatwością powtórzyć z nieszczęśliwym skutkiem. W miarę przeciągającego się w Dwóch Mostach pobytu, koło przyjaciół rozszerzało się ciągle. Jednym z najgorętszych był książe de Rohan, kardynał i biskup Strasburski, pan możny, uczony i wpływowy. Leszczyńscy odbierali ciągle dowody jego serdeczności; bywał u nich często i nawzajem do Sawern zapraszał. Sawern, rezydencya kardynalska, leżała na pół drogi do Strasburga, o mil dwanaście od granicy Francyi, gdy miasto Dwóch Mostów o cztery mile tylko było odległe. Blizki stósunek z kardynałem de Rohan, który czcił cnoty Stanisława, a szczególną sympatyą do młodziutkiej Maryi był przejęty, przyczynił się w znacznej części, a może i głównie do świetnego losu królewnej. Dzieweczka od najmłodszych lat stanowiła pociechę i rozkosz rodziców. Do tkliwego serca łączyła sąd trafny, wrodzony dowcip i pobożność wypływającą z głębokiej wiary, a objawiającą się w dobrych uczynkach. Własnoręczną pracą zaopatrywała kościoły i ubogich, z rzadką zręcznością wykonywając wszelkie robótki. Skutkiem owej napaści na życie Leszczyńskiego, Francya wzywała go do siebie za pośrednictwem życzliwego kardynała, ofiarowując bezpieczne schronienie. Trzeba było z gościnności jej korzystać, gdyż właśnie nadeszła wiadomość o zgonie szwedzkiego bohatera, przyjaciela i opiekuna Leszczyńskiego. Wszelkie nadzieje odzyskania korony i powrotu do kraju upadły od razu. Król August, do którego Stanisław udał się z prośbą o amnestyę, o zwrót dóbr i zachowanie królewskiego tytułu, stanowczo odmówił. (Ciąg dalszy nastąpi).

PACHOLĘ NA GRZYBACH.

Coś mi się w lesie migło gąszczem niby,
Odwiodłem kurek — patrzę zaczajony:
Aż tu pachołek, co wyszedł na grzyby,
Stoi przedemną bardzo zatrwożony.

Nie bój się dziecię! co to robisz w lesie?
»Zbieram, co znajdę!« — chłopak mi powiada,
»Czasami jaja, co je ptaszek niesie,
Czasami także grzyb się dobry nada.«

»Przednowek ciężki — to i to pomoże...
Matuś tam z dziećmi czeka na mię doma,
A jak paciorek zmówię sobie w borze,
Nigdy nie wrócę z próżnemi rękoma.«

Miły chłopczyna! — znał, kędy po lesie
Ptaki się gnieżdżą; — znał jaja po krasie;
Znał, który ptaszek jakie jaja niesie,
Jak je podbierać i o którym czasie?

Najbardziej sobie kacze jaja chwalił:
Bo gniazdo w gniazdo, jak kępa przy kępie,
Ale się na to tylko trochę żalił,
Że trudny przystęp w bagnistym ostępie.

Z kolei przyszło na jaja słowicze...
Rzekł mi chłopczyna: »ja jemu nie szkodzę,
Ja mu tak dobrze, jak skowronkom życzę,
Bo któżby śpiewał, gdy po lesie chodzę?«

Zdziwiony pytam: To i skowronkowi
Gniazd nie podbierasz?
»A brońże mię Boże!«
— Ze trwogą chłopak na to mi odpowie —
»Taką się krzywdą, człowiek nie wspomoże!«

»Skowronek, panie! to ptaszyna wczesna,
I Matka Boska — do tego — Bolesna
Wszystkie skowronki w swej opiece trzyma:
Więc na skowronka żadnej trwogi niema!«

Jakto? — pytałem. —
»Alboż wy nie wiecie,
Że to Zbawiciel chodził po tym świecie?
Gdyby dziś człowiek choć w poprzek tą drogą
Przeszedł, gdzie Chrystus stanął niegdyś nogą,
Byłby już zbawion! — lecz w ów czas ludziska
Były niedobre — bo podłe żydziska!
Więc chociaż Piłat umył sobie ręce,
Chrystus na krzyżu oddał ducha w męce!«



PO NAPADZIE MOSKALI.

»Pod krzyżem stała Matka u stóp Syna,
I ból ją wielki na duszy ucisnął...
I zaśpiewała w niebiesiech ptaszyna:
Spojrzy się Marya — skowronek zawisnął!«

»I tak nad Panem użalił się wiernie,
Że chciał mu odjąć choćby jedno ciernie,
Więc póty dzióbkiem i dzióbał, i dzióbał,
Aż cierń z korony najświętszej odskubał.«

»Błogosławiła Marya skowronkowi,
Podniósłszy w niebo swe oczy żałosne,
I rzekła w łasce: będziesz człowiekowi
I Bogu śpiewał najpierwszy na wiosnę!«

»A jako rzekła mu Matka Bolesna,
Tak się też iści — bo ptaszyna wczesna,
Nim śniegi giną, już w niebo się wznosi,
I wielką chwałę Matki Bożej głosi.«

»Więc któżby gniazdo skowronkowi psował?
Kiedy cierń święty jego gniazda strzeże?
Będziem się chować, jako Bóg nas chował,
Tak matuś mówią — i ja temu wierzę.«

W. Pol.



CHOWANIE ZMARŁYCH U ROZMAITYCH NARODÓW.

(Dokończenie.)

Gdzie z jednej strony zabobonna i ślepo wierząca wdowa taką widzi przed sobą perspektywę, a z drugiej strony pozostałą przy życiu smutny oczekuje los, pogarda bliźnich, brak środków do życia itd., tam dziwić się nie można, jeśli według źródeł urzędowych od roku 1815 do 1823 w Kalkucie i najbliższych jej okolicach 3,379 wdów uległo dobrowolnej śmierci w płomieniach, i że liczba spalonych wdów, podług wiarogodnych obliczeń, od roku 1756 do 1829 wynosiła 70,000. Rząd angielski, jak wiadomo, surowo zakazał palenie wdów, tak że obecnie rzadko której kobiecie udaje się dostać na stos. U wszystkich zresztą narodów indogermańskich, na początku historyi ich napotykamy ślady tego barbarzyńskiego zwyczaju, który nawet Tacyt, mówiąc o starożytnej Germanii, bardzo chwali jako symbol wysoce moralnej zasady — nierozerwalność małżeństwa.

Co się tyczy samego sposobu, w jaki się rozmaite narody obchodzą z trupami swych krewnych, to jest on wszędzie wiernem odbiciem zapatrywań, jakie dany naród posiada o istocie człowieka, a więc i o jego przyszłości i życiu pozagrobowem. U jednych więc narodów palą zwłoki. W ostatnich czasach pogański ten zwyczaj chcieli także i u nas w modę wprowadzić. Liberałowie a zwłaszcza masoni usilnie się o to starają, a nawet w sejmach tego się dopominają. Masonom chodzi przy tem o to, ażeby odebrawszy pogrzebom charakter chrześciański, odzwyczajać zwolna ludzi od chrześciańskich zasad, od religii. W ambarasie znalazły się te narody, które ogień i ziemię uważają za święte żywioły, których karać nie wolno, jak to np. wiadomo o starożytnych Persach i Hyrkańczykach. Lecz i oni znaleźli sobie radę. Persowie wystawiali zmarłych na otwartem polu, ażeby miękkie części pożarte zostały przez ptactwo niebieskie i leśne zwierzęta. Ogołocone w ten sposób z mięsa kości uważali za pocieszający obraz nieczułości i spokoju śmierci. Zbierano je, powlekano woskiem i zakopywano w ziemi. W Hyrkanii tak się radowano, że ciało kiedyś takiemu ulegnie losowi, iż każdy za życia już karmił psy, które po jego śmierci ogryzać będą jego kości. Kolchijczycy zaś zaszywali zwłoki w skóry zwierzęce i wieszali je tak na drzewie.

Inaczej zapatrują się na to wzmiankowani już raz mieszkańcy wysp Fidżi. Wierzą oni, że stan pośmiertny ściśle odpowiada temu, jaki człowiek opuścił na ziemi. Jeśli więc zmarły był kaleką albo zniedołężniałym już starcem, w takim razie i na tamtym świecie nędzne prowadzić będzie życie. A ponieważ, jako poczciwe dzieci nie chcą, żeby rodzice ich nędznie na tamtym świecie

żyli, przeto z wielkiej miłości nie dają im dożyć takiej późnej starości i zabijają ich, kiedy się zaczynają starzeć. Skoro się starzec na wyspach Fidżi sam już czuje osłabionym, wtedy zaczyna przygotowywać się do śmierci i prosi synów, ażeby go udusili. Jeśli zaś przygotowania te trwają za długo, synowie zwracają uwagę ojcu, »że dość długo żył.« W oznaczonym dniu zbierają się zaproszeni goście, z których jeden przynosi w podarunku oliwę, drugi maty słomiane, inny znów kawał sukna »tapa« i siadają milcząc, aż stary wskaże miejsce, w którym chce być pochowanym. Wykopują więc naprędce grób, ubierają ojca w nowe »seavo« (biała suknia) i turban i kładą go do grobu. Wśród głośnych skarg i płaczu biją się obecni w pierś, a nawet nożami zadają sobie rany, przykrywają trupa matami słomianemi i suknem »tapa«, zasypują grób ziemią i ubijają ją mocno.

W Matambo sądzą również, że wyświadczają wielką usługę, przyśpieszając ich zgon. Ciągną więc chorego za nos i uszy, za ręce i nogi, podnoszą go i rzucają o ziemię, zatykają mu usta, albo też kolanami gruchoczą mu poprostu klatkę piersiową. Tak postępują dzikie narody. Lecz coś podobnego praktykuje się i w niektórych górskich okolicach Hiszpanii, gdzie za pomocą rozmaitych środków starają się przyśpieszyć zgon chorego. Od czasu do czasu wyjmują tam chorego z łóżka, ażeby go położyć na słomie, wyciągają mu raptownie poduszkę z pod głowy itd.

Co się tyczy zachowywania zwłok ludzkich, to u rozmaitych narodów znajdujemy rozmaite środki. Babilończycy kładli zmarłych do kadzi z miodem, podczas gdy Asyryjczycy najpierw pociągali ich cienką warstwą wosku, a potem dopiero kładli w miód. Na wyspie Formozie murzyni wędzą trupów nad słabym ogniem. O pierwotnej ludności na Teneryfie opowiadają, że najpierw wyjmowali oni wnętrzności z ciała, następnie myli je odwarem z kory sosnowej i w końcu suszyli je w lecie na słońcu, w zimie w piecu. Potem dopiero następowało wycieranie całego ciała balsamem, przygotowanym z dzikiej lawendy i szałwii, gotowanych w maśle i sadle niedźwiedziem. Wycieranie tym balsamem wewnątrz i zewnątrz trwało tak długo, aż wszystkie części ciała całkowicie nim przesiąkły. Następnie zaszywano ciało w skórę kozią i układano je we wspólnych podziemiach.

Lecz niedoścignionymi w sztuce balsamowania byli Egipcyanie. Herodot opowiada o tem co następuje: »Balsamowaniem zajmują się ludzie, którzy sztukę tę odziedziczyli po ojcu. Do cechu tego należeć mogą tylko tacy, których przodkowie tem samem zajmowali się rzemiosłem. Skoro do nich przyniesionym zostaje trup, umawiają się z krewnymi co do klasy balsamowania i ceny. Najtrwalszy i najlepszy rodzaj balsamowania jest następujący: Przedewszystkiem za pomocą skrzywionego żelaza wyjmują przez nozdrza mózg i wlewają również przez nozdrza jakieś substancye chemiczne. Następnie ostrym kamieniem etiopskim otwierają brzuch i wyjmują całą zawartość jamy brzusznej. Potem wypłukują jamę brzuszną winem fenicyjskiem i wycierają ją suszonemi i sproszkowanemi roślinami pachnącemi, napełniają ją sproszkowaną myrrą i kassią, jako też innemi jeszcze substancyami aromatycznemi i zaszywają otwór. Następnie wycierają całe ciało sodem i po wysoleniu tem odstawiają trupa na 70 dni. Skoro czas ten minął, myją ciało na nowo, obwijają je paskami z włókien byssos i pociągają gumą arabską. Potem oddają ciało krewnym, którzy je kładą w drewnianą trumnę, odpowiadającą dokładnie formie ciała i przechowują je starannie w podziemiach, w postawie pionowej«.

Tak opowiada ojciec Herodot, który na 2,000 lat przed Chrystusem podróżował po Egipcie i kraj ten opisał. Przytacza on jeszcze dwa inne, tańsze rodzaje balsamowania. Diodor, następca Herodota, oblicza koszta takiego balsamowania pierwszej klasy na mniej więcej 1 talent srebra, czyli podług naszych pieniędzy około 4,000 mk. Druga klasa

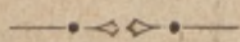
kosztowała 20 msu, czyli około 1,400 mk.; trzecia zaś klasa była bardzo tanią, bo też na krótki tylko czas wystarczała.

Z taką starannością, jak starożytni Egipcyanie, nie obchodził się żaden naród nowoczesny ze swymi zmarłymi. Tylko u Chińczyków, którzy pod względem cywilizacyjnym pozostają dziś jeszcze o tysiąc lat za nami, spotykamy w jednym wypadku prosty wprawdzie lecz bardzo praktyczny sposób konserwowania zwłok. W samych Chinach zmarli nie zostają balsamowani, lecz chowają ich na cmentarzach, jak u nas. Lecz jeśli Chińczyk umiera zdala od swojej ojczyzny, stara się wszelkiemi siłami, ażeby sobie przynajmniej zapewnić, że go na ojczystej pochowają glebie. Przeznacza on na to testamentem pewną kwotę, a skoro umrze, krewni lub przyjaciele kładą trupa do próżnej beczki, którą następnie napełniają aż po brzeg solą. Szczególną trumnę taką przechowują, aż się dostateczna ilość ich zbierze, ażeby za pozostawione przez wszystkich pieniądze odesłać ich razem do »państwa niebieskiego«. To też nierzadko widzieć można w porcie Hong-Kong przebywające z San-Francisco potężne statki, w których znajduje się niekiedy 800 trumien ze zmarłymi na obczyźnie wychodźcami z Chin.

Moglibyśmy w tej sprawie więcej jeszcze powiedzieć, gdyż chowanie zmarłych bywa tak rozmaite, jak rozmaitymi są ludy zamieszkujące świat, bo każdy lud innych pod tym względem trzyma się zwyczajów. Lecz u wszystkich narodów, z wyjątkiem najdzikszych tylko, zwyczaje te dowodzą, że wszystkie narody sądzą, iż dusza nie umiera wraz z ciałem i że istnieje jakiś związek pomiędzy tym a tamtym światem.



O ATRAMENCIE CZYLI INKAUŚCIE.



Niedawne to czasy, kiedy nietylko u nas (gdzie zresztą dotąd się to jeszcze po trosze praktykuje) lecz nawet w Niemczech, wyrób atramentu w najbardziej pierwotny odbywał się sposób. Ktoś z domowych, według doświadczonego, starego przepisu, przyrządzał dla własnego i bliskich osób użytku, bladoszary płyn, atramentem zwany. Posługiwał się przytem najprostszemi aparatami: gdzieś w kącie stała beczułka lub duży garnek, z którego rozchodziła się woń szkodliwa; dawnemi czasy wsypano do niej galasu, wlano witryolu i jeszcze czegoś, i odtąd, w razie potrzeby, tę spleśniałą i cuchnącą masę rozprowadzano wodą, a płyn jaki się z tego tworzył, atramentem zwano.

Dzisiaj fabrykacyą atramentu znacznie udoskonalono.

Pewien pisarz opisuje fabrykę atramentu Beyera w Kamienicy Saskiej tak:

»Korzystając z uprzejmego zaproszenia właściciela, który jest zarazem założycielem tego przedsiębiorstwa, dwadzieścia kilka lat pod własnym prowadzonego kierunkiem, udałem się do Kamienicy i przybywszy na stacyę kolei, przekonałem się naocznie, że fabryka wyroby swoje wysyła do Władiwostoku w Syberyi, do Peru, — Tromsee, leżącego głęboko na północ, do Melburnu w Australii; nie spodziewałem się, aby wyrób ten do tak olbrzymich rozmiarów dochodzić mógł.

W zachodniej stronie miasta, w cienistym parku znajduje się obszerna fabryka. Opisem jej nie będę zajmował czytelników; gmachy podobne do większej części budowli na takiż sam przeznaczonych użytek; zajmowały mnie przedewszystkiem materyały do fabrykacyi potrzebne.

Pierwszym z nich, dla niefachowego człowieka nieciekawym wcale, jest woda; a jednak przy wyrobie atramentu jest ona jednym z najważniejszych czynników; ponieważ dobroć atramentu od jej czy-

stości i odpowiednich własności chemicznych zależy. W fabryce Beyera do ogromnych zbiorników pompują ją ze źródeł znajdujących się w pobliskim lasku, lub też wydobywają z głębokich studzien wykutych w skale, w miarę tego, czy miękka czy też twarda potrzebną jest do wyrobu.

Drugi produkt, znany każdemu jeszcze ze szkolnej ławki, to orzechy galasowe. Zdaje się, że przedmiot ten nie może budzić niczyjej ciekawości, a jednak uprzejmy gospodarz opowiadał mi o nim bardzo zajmujące rzeczy. Te stosy galasowego orzecha nie pochodzą bynajmniej z naszych dębowych lasów; galas krajowy używa się jedynie do najtańszego atramentu. Inne gatunki wyborowe wymagają też materyału zawierającego w sobie więcej barwnika. Pokazał mi orzeszki sprowadzone z Południowej Ameryki, z Afryki środkowej, azyatyckie, z miasta Mosul nad Tygrem, wyborowe z Alepu, w podługowatych paczkach przesyłane; dalej leżą orzeszki nabyte na rynkach Smyrny, Tripolisu i z nad wybrzeży Martwego morza, które powstały od ukłucia apulijskich os galasowych.

Idziemy dalej i zatrzymujemy się przed stosami połupanego, czerwonawego drzewa. Jest to trzeci z najważniejszych czynników, do wyrobu atramentu niezbędnych — brazylia, kampea, czyli błękitne drzewo (Haematoxylon campechianum). W komórkach tego drzewa zawiera się farbnik, H a e m a t o x y l o n, posiadający niezwykłe własności: zmięszany z potasem gryzącym i amoniakiem nabiera na powietrzu barwy purpurowej, błękitnej i przepysznej fioletowej, a gdy się dłuższy czas odstoi, robi się zupełnie czarny. Dzięki tym przymiotom, nietylko do fabryk atramentu, lecz do farbowania skór i różnych wełnianych, jedwabnych i bawełnianych tkanin, z dodatkiem innych preparatów chemicznych używa się brazylia. Ponieważ w tem drzewie znajduje się wiele garbniku, posiadającego ściągające własności, niektórzy lekarze zastósowywali go nawet jako środek kuracyjny w pewnych chorobach.

W handlu na kilka gatunków dzieli się brazylia: 1) Meksykańskie czyli Kampeszowe drzewo, za najlepsze uważane, ponieważ najwięcej w sobie Haematoxylinu zawiera; 2) brazylia z Honduras, 3) z Jamaiki i 4) z Domingo. Pomimo ogromnego rozpowszechnienia farb anilinowych, brazylia w bardzo wielkiem jeszcze zostaje użyciu; nietrudno jednak przewidzieć, że wkrótce da się uczuć brak tego materyału, ponieważ nierozsądnie wyniszczają kampeszowe lasy, bez żadnego względu na przyszłość.

Dawniej dobywano brazylię tylko z zatoki Kampeszu, a handel tem drzewem znajdował się jedynie w ręku Anglików; lecz że w początku przeszłego stulecia częste z tego powodu między Hiszpanami, posiadaczami tego kraju, a Anglikami wynikały zatargi, w 1715 r. D. Barnam sprowadził nasiona kampeszowego drzewa do Jamaiki, gdzie założone plantacye udały się wybornie.

Widzimy zatem, że na wyrób atramentu składają się produkta starego i nowego świata. Wyobraźnia maluje nam obrazy dalekich krajów i ich stósunek wzajemny. Biedny amerykański wyrobnik nakładający na swego osiołka wiązki kampeszowego drzewa, zrąbanego w dziewiczych lasach, nie myśli pewnie, że ono posłuży do wyrobienia płynu, którym może potężni władcy świata wyzwania do boju lub pokojowe traktaty podpisywać będą.

Mnóstwo innych chemicznych składników niezbędnych przy fabrykacyi atramentu, które nam wymieniał światły gospodarz, uczą nas, że się znajdujemy w zakładzie przemysłowym prowadzonym na wielką skalę, na podstawach nauki i doświadczenia opartym.

Niepodobna jednak zadowolnić ciekawości i wszystko zgłębić szczegółowo; idziemy obejrzeć samą fabrykę. Dochodzi nas głuchy, przytłumiony odgłos z budynku, do którego się zbliżamy: to parowa maszyna w ruch wprawiona, kruszy nożami twarde jak żelazo kampeszowe drzewo na drobne drzazgi. Ten rodzaj grubej mąki wsypują do kadzi, polewają rozpuszczonym, rzadkim klejem

i zostawiają na kilka tygodni w ciepłem miejscu. Dopiero gdy się tak wystoi, obejrzenia — jest to to miejsce i sposób, w jaki za pomocą maszyn wydobywa



Na rodzinnej ziemi. (Obacz powiastkę: »Trzy chwile z doli wychodzców.«)

brazylia zdatną jest do użytku.

Teraz najciekawszą rzecz mamy do się barwnik. W ogromnym, wykutym z miedzi kotle gotuje się na parze ga-

las, brazylia i inne materyały, a gdy dojdą do właściwego stopnia wrzenia, rurami przepuszczają się do innych naczyń, również z miedzi zrobionych, przepędzają przez alembik, dalej z jednego naczynia przelewają w drugie, aż dojdą do potrzebnej gęstości i temperatury właściwej. Przy pomocy maszyn cały ten długi i zawiły proces tak jest ułatwionym, że bardzo niewielu ludzi do obsługi wymaga.

Ze wszystkich tych kotłów i aparatów do jednego przeprowadza się gotowy już płyn, bardzo podobny do zwykłego atramentu, który się zlewa do ogromnych kuf umieszczonych w piwnicach fabryki i tam się odstaje, aż nabierze czystości i barwy potrzebnej.

Z piwnic winda podnosi nas w górę. Idziemy do chemicznej pracowni (laboratoryum), zkąd wychodzą rozporządzenia i główny kierunek całego zakładu. Chcąc je opisać, trzebaby na to dłuższego czasu; uderza nas ono bogactwem i rozmaitością przyrządów najrozliczniejszych. Dalej już łatwo sobie wyobrazić przy tak ogromnym odbycie, jaki fabryka posiada, obszerne sale, gdzie się atrament zlewa we flaszki, pieczętuje, nakleja etykiety, pakuje i t. d.

Na jedno jeszcze zwrócić należy uwagę: wielki pokup, jaki znajduje wyrób fabryki Beyera, zawdzięcza przedewszystkiem swej dobroci, a potem wybornemu i gustownemu opakowaniu.

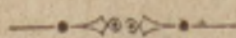
Kupujący zwracają uwagę nie tylko na dobroć produktu, lecz i na wytworną jego powierzchowność. Nim opuścimy ten wzorowy zakład, przytoczę jeszcze krótki rys o jego powstaniu i rozwoju ze słów tego, który go utworzył.

»Gdym 1856 roku nabył aptekę w Kamienicy, zająłem się jednocześnie wyrobem atramentu, który do tego czasu w lepszych gatunkach wyłącznie z Anglii i Francyi sprowadzano. Po wielu próbach udało mi się przygotować płyn, z razu na papierze czerwonawą mający barwę, lecz który wkrótce ciemniał i nabierał czarno-granatowego koloru. Nie wiele upłynęło czasu, a mój atrament zyskał pokup i nie tylko w Kamienicy, lecz coraz dalej poszukiwanym być zaczął. Wkrótce już nie wystarczyły pierwotne, najzwyczajniejsze przyrządy, składające się z kotła i kilku beczułek, trzeba było pomyśleć o założeniu oddzielnej fabryki. W 1863 r. stał już gmach z każdym rokiem wzbogacający się w co raz doskonalsze pomocnicze środki, narzędzia i maszyny parowe. W początku wyrabialiśmy jeden tylko gatunek atramentu, dziś ich fabrykujemy do ośmiu, dziesięciu, a przy teraźniejszym rozwoju zakład wystarczyć nie może obstalunkom i żądaniom, jakie odbiera ze wszystkich stron świata«.

Gorąco życzyć można, aby podobne zakłady, takaż sumienność i wytrwałość znalazły się i u nas, abyśmy jak najmniej potrzebowali zapożyczać się u obcych i opłacać im drogo, za to, co równie dobrze jak inni moglibyśmy fabrykować sami.



Trzy chwile z doli wychodzców.



I.

Na rodzinnej ziemi.

— Kubuś, trzymaj się mocno, bo konik poskacze.

Hop, hop, hop,
Koniczku w galop,
Skacz przez doły, płoty, rowy,
Ale sobie nie zbij głowy.
Hop, hop, hop...

Tak śpiewając, Walkowa podskakiwała, a synek Kubuś, siedząc na jej szyi, jak na koniu, cieszył się i śmiał.

Walek kroczył kilka kroków za żoną i patrząc na nią i dziecko, czuł się bardzo szczęśliwy.

Gdyby szczęście osiadało tylko w pałacach, Walek musiałby się czuć najnieszczęśliwszym, albowiem nie tylko pałacu nie posiadał, ale nawet ani chałupy,

ani pola. Siedział komornem, a na życie zarabiał, najmując się do gospodarzy na robotę.

Był z niego człowiek dobry, więc z początku, gdy się ożenił, nie pozwolił, aby żona do roboty chodziła.

— Od czego ja chłop, — mawiał. Od czego mnie nazywali najmocniejszym i najzgrabniejszym parobkiem, jak jeszcze kawalerem byłem? Ty, Barbaro, siedź doma, grzeb sobie w ogrodzie, co potrzeba. Ja sam będę harał, sam na ciebie i siebie zarobię...

Wieś cała się dziwiła, że Walek Barbarze do roboty chodzić nie pozwoli a ludzie mówili, że panią z niej chce zrobić.

— To jej się zda, — mówiły stare kobiety — bo jej się nigdy robić nie chciało. Jeno się ubrać w barwiste wstęgi i paradować. Gdy szła do kościoła, dziwy nie dziwy, niby hrabina idzie; wstęgi się wiewają, szaty wyprasowane szeleszczą, niby jedwabniste. Ho, ho, Barbara na panią wygląd ma...

— Toć jeszcze nic złego, że się do kościoła wystroiła — odpowiedziała na to stara Gertruda, daleka krewna Barbary. — Do karczmy nie chodziła, tańców nie lubiła a gwoli pracy, to wszyscy gospodarze, u których służyła, mawiali, że nie ma nad nią pracowitszej.

— Tyś jej krewna, więc ją zawsze bronisz — odburknęły na to kumoszki. — Co się to takiej biednej dziewusze stroić? Teraz choć już chłopa ma, a jednak się stroi i nie dziwota: chłop haruje, zarabia a ona na przypiecku wylega i o strojach myśli. Co też to niejeden chłop za głupi!... Mój nieboszczyk (Panie świeć jego duszy!) nieraz legnął na ławie, a mnie się kazał starać o chleb. Inni ludzie, inne zwyczaje. Lecz poczekajcie! Walek nabędzie innego rozumu, poczekajcie!...

Kumoszki czekały i rzeczywiście się doczekały, że Barbara razem z Walkiem na pole do roboty chodziła, lecz nie na zaciąg, do roboty dla obcych. Po trzech latach Walek tyle się zdomógł, że zdołał zadzierżawić kawałek pola, a wtedy już nie bronił Barbarze pomagać mu w pracy polnej, może dla tego, że pomocy istotnie potrzebował, a może też dla tego, że ich już było troje w chałupie, albowiem Bóg obdarzył ich synkiem, Kubusiem.

— Dopóki byliśmy sami, — mówił — ja zapracowałem dla ciebie i dla mnie. To chłopa obowiązek. Skoro teraz Bóg nas dzieciną obdarzył, musimy oboje pracować, ażeby tej dziecinie przyszłość zapewnić.

Walek był uparty i skoro sobie coś uwidział, ani rusz od tego odstąpić. Inni kazali żonom na drugi dzień po ślubie do roboty iść; on miał o tem inne zapatrywanie i choć Barbara go prosiła, aby pozwolił sobie pomódz, nie dał się uprosić, aż dopiero Kubuś zmianę w zapatrywaniu Walkowem sprawił.

Ojciec był w Kubusiu rozkochany, jak rzadko. Kubuś, Kubuś i ciągle Kubuś! To dla Kubusia, wszystko dla Kubusia! Kubuś musi wyjść na człowieka! Tak Walek powtarzał i stał się jeszcze pracowitszym, jeszcze oszczędniejszym, aniżeli był dotąd.

I tak sobie żyła poczciwa ta rodzina w bojaźni Bożej, w pracy, w szczęściu, dorabiając się bardzo wolno mienia. Po roku zadzierżawił Walek jeszcze kawałek pola i harał z żoną.

Pewnego dnia w lecie wracali oboje z Kubusiem od pracy. Słońce już zaszło, zmrok zaczął zapadać. Na polach ustawało życie, pot na czołach ludzkich stygnął pod powiewem wieczornego wiatru, pracownicy wracali ku domowi, gwarząc wesoło. Każdy szedł z uczuciem spełnionego obowiązku; strudzone kości poświadczały mu zarówno, że rzetelnie zrobił, co się należało, i że mu wypocząć trzeba.

Barbara nie mniej od innych znużona była, lecz jak jej myśleć o znużeniu, gdy Kubuś z nią. Na polu bawił się kamyczkami sam; matka chciała mu teraz pieszczotami nagrodzić to, że długo sam się musiał zabawiać. Podnosiła go w górę, śpiewając mu i rozmawiając z nim, choć dziecko ledwie piąte przez

dziewiąte mówiło. Nakoniec posadziła go sobie na szyi i nuż podskakiwać, aby Kubuś myślał, że na koniku jedzie...

Hop, hop, hop,
Koniczku w galop...

Na ziemię spokój kładł się wieczorny, który prostym a niewinnym duszom się udziela, że się niejako z nim zlewają w dźwięczną harmonią. Bogu dzięki za znojny dzionek! Bogu dzięki za spokojny wieczór!...

Walek szedł za żoną, nic nie mówiąc, tylko patrząc a patrząc. Twarz miał wypogodzoną; od czasu do czasu bezwiednie tylko odzywał się:

— Kubuś, trzymaj się!

Wiedział on dobrze, że Kubuś tego nie rozumie i że Barbara zbyt jest baczną, aby Kubusia upuścić, lecz z przestrogą jednak się odzywał na znak, że bierze udział serdeczny w pieszczotach matki z synkiem. Zdawało mu się, że dziecina, słowa jego usłyszawszy, zrozumie, że ojciec też niejako do pieszczot dopomaga, choć matka je w istocie wykonuje.

Gdy nadeszli do chałupy, zastali przed domem sąsiadkę, która im oddała list, mówiąc, że listowy go przyniósł i powiedział, jako to pismo jest z Ameryki, zapewnie od Walkowego brata.

— Od Józka? — zawołał Walek. — Pewnikiem pieniędzy odemnie chce, bo był z niego zawsze pędziwiatr, niecnota. Po tylu latach sobie przypomniał....

Podczas gdy Barbara wieczerzę przygotowywała, Walek list odpieczętował i czytał.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Kochany bracie! Pewnikiem myślicie, jako ja już zmarł w tej wielkiej Ameryce. Tedy wam piszę, żem jest żyw i dobrze mi się powodzi. Zrazu nijak nie szło, lecz natrafiłem na dobrą robotę. Ożeniłem się z jedną dziewczyną tutejszą; jest innej wiary i języka naszego nie potrafi. Cóż miałem robić, kiedy tu naszych nie ma. Ale kobieta z niej dobra. Ona też pracuje i ja pracuję, więc parę set talarów już my żarobili. Tu się można prędko grosza dorobić, jak kto ma szczęście i do roboty się nie leni. Tutejsi ludzie mówią, że tu pieniądze leżą na drodze, tylko trzeba umieć je zobaczyć i zgarnąć. A to się tak rozumie, że trzeba być przebiegłym. Pracujemy i pracujemy i myślimy, że nasz synek nie będzie potrzebował tak pracować, bo zbierzemy dla niego mająteczek.

Nie chcę cię, kochany bracie, namawiać, lecz możebyś nie żałował, gdybyś do Ameryki przyszedł. Tyś był zawsze taki robotny, tobyś się mógł tu wnet wielkiego grosza dorobić. Odpisz mi, jak ci się powodzi, a tymczasem cię pozdrawiam i żegnam po bratersku.

Józef.

Walek rzucił list na stół, gdy przeczytał i zawołał z uśmiechem:

— Barbaro! Pojedziemy do Ameryki zgarniać pieniądze. Chcesz?

— Bój się Boga, Walku, nie pleć głupstwa. Czytasz w gazetach, że w Ameryce nic darmo nie dają, że tam też taka bieda, co u nas, że...

— Przestań gadać, — odezwał się Walek, — bo ja tylko z ciebie żartował. Ani mi w myśli Ameryki. Jam szczęśliwy na mojej rodzinnej polskiej ziemi i tu chcę pozostać do śmierci.

— Co daj Boże, aby się stało! — dorzuciła Barbara.

List brata Józefa włożono do skrytki w szafie, gdzie pieniądze chowali; Walek chciał mu odpisać.

O Ameryce nie było już więcej mowy między nimi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Roślina.

Słyszeliście, że woda jest koniecznie potrzebna dla rośliny. I rzeczywiście ani żołędzie, ani ziarnka żyta, ani żadne inne nasienie nie może nawet zakiełkować bez wody. Wtedy tylko mogą w ziemi rość rośliny, jeżeli jest w niej wilgoć. Ale wilgoć jeszcze nie wystarczy, roślina potrzebuje także ciepła i światła.

Ziarnka leżące w wilgotnej ziemi, ogrzane łagodnemi promieniami słońca, wypuszczają w ziemię korzonki a do góry pęd zielony. Roślina ma na listkach drobniutkie otwory, któremi tak oddycha, jak ludzie i zwierzęta, tylko, że wciąga tlen a wydziela bezwodnik węglowy. Oddychanie to jednak odbywa się w dzień bardzo powoli, w nocy prędzej trochę. Za to w dzień chłonie roślina w wielkiej ilości bezwodnik węglowy, nieprzydatny do życia zwierząt i ludzi a wydziela taką samą ilość czystego i zdrowego tlenu, potrzebnego im do życia. Dla tej to przyczyny w lasach, po polach i na łąkach oddychamy tak swobodnie, lekko i pełną piersią, podczas gdy w wielkich miastach, gdzie mało jest ogrodów a dużo budynków, w ciasnych chałupach i oborach powietrze jest duszne i niezdrowe a oddech ciężki i utrudniony.

Roślina tylko zielonemi częściami może pochłaniać bezwodnik węglowy i tylko w świetle; w ciemności hodowana roślina wcale nie ma zielonych łodyg ani liści, a więc i bezwodnika węglowego wciągać nie może. Ten bezwodnik węglowy przerabia w roślinie pewne cząstki na ciało bardzo pożywne, zwane skrobią (krochmalem). Bez światła roślina, nie chłonąc bezwodnika węglowego, nie może wyrobić w sobie skrobi.

Oprócz wody, tlenu i bezwodnika węglowego potrzebuje roślina jeszcze azotu: wprawdzie w powietrzu jest go dużo, bo cztery razy tyle co tlenu, jednak tego azotu nie umie roślina wciągać, ale chłonie jego połączenie z wodorem, zwane amoniakiem. Amoniak powstaje przy gniciu ścierwu i kału zwierzęcego, a ponieważ jest bardzo lekki, więc unosi się w powietrzu. Woda rozpuszcza w sobie amoniak, a więc skoro deszcz spadnie, zabiera ze sobą z powietrza amoniak i wsiąka z nim w ziemię. Z ziemi wyciąga roślina korzonkami wilgoć a razem z wilgocią także w niej zawarty amoniak. Dla tego to, aby zboże lepiej się udało, dodajemy do ziemi nawozu, w którego skład wchodzi dużo kału, z kału wywiązuje się amoniak i inne gazy, pomiędzy temi jeden składający się z azotu, tlenu i wodoru; gazy te roślina korzonkami z ziemi wraz z wodą wciąga. Jednak, gdy nawóz nie był trzymany w gnojówce o nieprzepuszczalnem dnie, gdy nie był należycie okopany i nakryty, wtedy część amoniaku ulotniła się w powietrze, część rozpuściła się w wodzie i z wodą spłynęła głębiej i taki nawóz traci ogromnie na swej wartości, bo właśnie to, co najużyteczniejsze i najpotrzebniejsze, traci, nim zostanie rozrzucony na polu.

Roślina potrzebuje jeszcze do swego rozwoju siarki, fosforu, magnezyi, potażu, wapna i żelaza, wszystkie te ciała wyciąga korzonkami z ziemi, gdy w ziemi jest zamało fosforu, nawozimy ją mielonemi kośćmi lub fosforytem, któreto nawozy zawierają fosfor. Krzemionka choć się w roślinie znajduje, to jednak nie jest dla niej koniecznie potrzebna.

Roślina, wciągając w siebie bezwodnik węglowy a wyziewając tlen i pochłaniając nieznośnego zapachu amoniak, przyczynia się w wysokim stopniu do oczyszczenia powietrza i z tego względu jest bardzo pożyteczna. Następnie służy jako pożywienie ludziom i wielu rodzajom zwierząt.

Praktyczne rady.

— **Woda wapienna.** Wodę tę używaną w różnych celach, często do płókania w bólach gardła także służącej, przysposabia się, biorąc wapna świeżo wypalonego, niegaszonego część jedną co do wagi i zwolna gasi dziesięcioma częściami wody miękkiej; a gdy się ta dobrze podstoi, zlewa się, cedzi i w flaszce dobrze zatkanej przechowuje.

— **Użytek petroleju do prania bielizny.** Pół roku prałam moją bieliznę z dodatkiem petroleju do wody i to na 100 litrów wody $^3/_4$ litra petroleju. Korzyść miałam z uzyskania czasu; bielizna moczy się przez kilka godzin a po jednorazowem dokładnem wypraniu jest zupełnie czysta. Gdyby bieliznę cokolwiek czuć było petrolejem wystarczy do usunięcia tego namaczanie jej na noc w zimnej wodzie.

— **Środek usunięcia** nieprzyjemnej woni, czyli odoru stokfisza. Niech to pozostanie w pamięci, lub niech ten ktoś, który ma do czynienia z rybą tą, zrobi sobie odpis z przepisu tego, czy ryba ta ma być gotowaną w sosie, lub pieczoną w maśle, aby nie zapomniał, mianowicie: gospodynie, kucharze, kucharki i wszystkie te osoby, które mają styczność z gotowaniem potraw, a mianowicie tej ryby. Środek ten jest następujący, całkiem prosty i tani. Bierze się trzy lub cztery ziarnka obranego czosnku, przekrajanego na wpół i kładzie się do garnka wrzącej wody, zawierającego 3 do 4 litrów. Niech czosnek ten będzie do pięciu minut w owym garnku, potem wodą tą naciągniętą czosnkiem, oblewa czyli sparzy się stokfisz, a odór czyli zbytnia jego woń zniknie natychmiast i ryba ta staje się w ten sposób dobrą, czy to w sosie, czy pieczona i każdy rybę tę w ten sposób chętnie jeść będzie.

— **Przyrządzenie tabaki do palenia.** Aby odebrać liściom

tabaki, która urosła w północnych krajach cierpki smak i nieprzyjemną woń, a na to miejsce nadać tabace własności podobnych, które odznaczają tabakę sprowadzoną z ciepłych okolic Ameryki, kładzie się liście tabaki suszone na wolnem powietrzu jak zwykle, do płynu, składającego się z 3 i pół litra wody, w której się rozpuszcza 75 gramów winnego kamyszka (z drogeryi lub apteki) i 75 gramów saletry. Do tego płynu kładzie się 10 funtów tabaki i pozostawia przez 1 lub 2 dni. Potem wyjąć trzeba tabakę, wypłókać dobrze w czystej wodzie, ususzyć na szpagacie w ogrzanym pokoju lub latem w cieniu na wolnem powietrzu, pokrajać i pokrajaną tabakę zwilżyć następującym zimnym płynem: 300 gramów rodzenków, 15 gramów pokrajanych liści bobkowych, 200 gramów jałowcu, 50 gramów nasienia kopru proszkowanego gotuje się w 3 i pół litra wody i filtruje przez płótno. Zwilżoną tym płynem pokrajaną tabakę rozkłada się cienką warstwą na wolnem powietrzu lub w blizkości pieca i po ususzeniu jest gotową do użycia.

Rozmaitości.

* **Ile waży kula ziemska?** Oddawna już zważono naszą planetę i teraz o to idzie tylko, ażeby tę wagę sprawdzić. Przy oznaczeniu ciężaru ziemi zaszły pewne różnice, które wynoszą kilka trylionów ton; nie można się temu dziwić, zważywszy, że tu idzie o taki kolos jak kula ziemska. Pierwszego obliczenia dokonał anglik Baily, który około 1840 r. zamieszkiwał w Londynie mały domek w pobliżu British Museum, zdala od natrętów i gwaru miejskiego. Rezultat długich jego prac jest następujący: Ziemia jest o $5^{58}/_{100}$ cięższą niż byłaby kula równej wielkości napełniona czystą wodą. Metr kubiczny czystej wody waży 1,000 kilogramów. Ile metrów zawiera mila kwadratowa łatwo obrachować, wiadomo zaś, że nasza planeta ma 2,650 milionów mil kubicznych. Waga jej przeto, podług obliczeń Baily'ego, wynosi olbrzymią cyfrę 6,040 trylionów ton. Przed kilkoma laty dr. Wilsing w obserwatoryum astronomiczno-fizycznem w Potsdamie sprawdzał obrachunek angielskiego uczonego za pomocą nowych ulepszonych sposobów. Przyjął on za podstawę, że ziemia jest $5^{59}/_{100}$ cięższą niż kula równej wielkości napełniona czystą wodą. Widzimy, jak małą jest różnica pomiędzy obliczeniami obu uczonych, wynosi bowiem tylko $^{1}/_{100}$, w ogólnym jednak obrachunku stanowi to pokaźną cyfrę 10 trylionów, bo dr. Wising twierdzi, że ziemia waży 6,050 trylionów ton. Z tego na atmosferę 5,500 bilionów ton. Wiele cięższemi są morza, gdyż biorąc w rachunek ostatnie pomiary głębokości, można obliczyć wagę wszystkich oceanów na $1^{4}/_{10}$ trylionów ton. Bardzo zajmujący jest obrachunek ciężaru lądu stałego, nie wyłączając naturalnie olbrzymich skał podwodnych. Rzecz szczególna, że cyfra wypada taka sama jak dla mórz i wynosi także $1^{4}/_{10}$ trylionów ton. Czy ta zgodność jest przypadkowa jedynie, czy też polega na nieznanych nam prawach, nie wiadomo. Z tych wszystkich obliczeń jeszcze jeden ciekawy wyciągnąć można wniosek. Mówiliśmy już, że ciężar ziemi jest przeciętnie $5^{1}/_{2}$ razu większy niż ciężar kuli równie wielkiej, napełnionej czystą wodą, tymczasem znane nam materye są tylko $2^{1}/_{2}$ do $2^{3}/_{4}$ cięższe od równej im objętości masy wody. To stanowiłoby dowód, że w miarę swej głębokości kula ziemska staje się coraz cięższą, a zatem w jej wnętrzu muszą się mieścić jakieś bardzo ciężkie materye, prawdopodobnie kruszcze. Niejednemu przyjdzie na myśl, że to może być złoto, srebro lub platyna. W tem przypuszczeniu niema nic nieprawdopodobnego a pociąga ono za sobą drugie, mianowicie że gdyby w skutek jakiegoś geologicznego kataklizmu drogocenne kruczce mieszczące się w głębi ziemi, wydostały się na jej powierzchnią, wywołałoby to zupełny przewrot w przytoczonych obliczeniach.

* **Jednem z najniebezpieczniejszych drzew na świecie** jest mancenilla. Owoce jej, barwą i kształtem podobne do jabłek, stanowią silną truciznę, podróżny który zaśnie pod jej cieniem, może nie obudzić się więcej, a w najlepszym razie dostanie zawrotu głowy. Niemniej szkodliwym jest dym pochodzący ze spalonego drzewa mancenilli; każdy kto nim odetchnie, doświadcza chorobliwych przypadłości. Na Jawie żaden krajowiec nie dotknie siekierą tego drzewa, chińczycy tylko podejmują się ścinać je, lecz nacierają się poprzednio sokiem jakiejś rośliny, która niweczy szkodliwe działanie wyziewów mancenilli. Skoro drzewo jest zupełnie suche, może być bezkarnie obrabiane przez stolarzy.

* **Obawa.** W jednej z menażeryi amerykańskich robiono niedawno próby w celu przekonania się, o ile prawdziwym i wielkim jest przysłowiowy strach lwów, tygrysów, słoniów i innych dużych zwierząt w obec zwyczajnej myszy. Naprzód wpuszczono myszkę do klatki, gdzie się znajdowały dwa lwy ogromne; te odskoczyły w przerażeniu, rycząc straszliwie i usiłując wydostać się z klatki. Powoli uspokoiły się o tyle, że obwąchały gościa i nie zwracały już nań później żadnej uwagi. Podobnie też zachowywał się wielki tygrys królewski. Słoń drżał ze strachu i poruszał trąbą niespokojnie; ale wytresowany jego towarzysz z najzimniejszą krwią deptał przybyszów stopą. Pumy, hyeny i wilki, biorąc rzecz ze strony praktycznej, dusiły natychmiast szczury i myszy, jakie wpuszczono im do klatek.

* **Największą obrazę** wyrządza się w Japonii, mówiąc komuś: »Hovenkukidojo,« to jest »ryba bez ości.« Z Yokohamy donoszą właśnie, iż redaktor miejscowego dziennika »Nishin Shingishi,« który użył tego wyrażenia w artykule o naczelnikach przeciwnej partyi politycznej, skazany został przez sądy japońskie na rok ciężkich robót.

Jest to przezwisko dość logiczne, wiadomo bowiem, że ryba bez ości nie jest już rybą. Zastósowane do ludzi, oznacza człowieka bez charakteru, t. j. człowieka, który już przestał być człowiekiem.

* **Wróżba wojny.** W czasie mrozów tegorocznej zimy, jakie nie bywały od lat stu, w Rzymie pękł u św. Piora wielki dzwon, zwany »della predica,« wykonany w r. 1288 za papieża Mikołaja IV. przez Pissino Guidotti. Ponieważ go zdjęto, aby go przelać, przeto zabobonne pospólstwo przepowiada, że Predica dał sygnał do wielkiego krwi przelewu.

* **Cudowny wynalazek.** Berlińskie dzienniki donoszą, że niejaki Feliks Lendrow, były asystent pocztowy, lubujący się bardzo w chemii, wynalazł proszek, za pomocą którego w każdej chwili może z dnia zrobić noc. Proszek ten sporządza się z jakichś tajemniczych liści, przetwarza chemicznie, a potem potrzeba zapalić maleńką tylko ilość, ażeby otrzymać egipskie ciemności, albowiem atomy jego mają tę własność, że rozlatując się w powietrzu, gaszą światło dzienne zupełnie, wszelako tylko w tej przestrzeni, którą dym powstały ze spalenia proszku obejmie.

Wynalazek ten, obliczony podobno głównie na wzajemne utrudnianie ruchów strategicznych podczas wojny, przeszedłby zatem genialnością swą wszystkie inne wynalazki, które w ostatnich czasach porobili rozmaici odkrywcy, nie wyłączając mundurów nieprzepuszczających kul.

* **Zwyczaje majowe.** Gra w zielone jest bardzo starożytną; już w XIII i XVI wieku była w ogólnem użyciu we Francyi a ztamtąd do nas przeszła. Grano w nią na początku maja i tak samo jak obecnie polegała na tem, że każdy z grających obowiązany był nosić przy sobie listek lub gałązkę zieloną. Kto został schwytany bez tych dokumentów, przegrywał, a wygrywający miał prawo wylać mu na głowę kubeł wody. W Turenii istnieje zwyczaj, że narzeczony zawiesza 1 maja na drzwiach swej ukochanej bukiet kwitnącej tarniny. W Prowancyi wybierają królową majową z pomiędzy najpiękniejszych dziewcząt i, ustrojoną w kwiaty, prowadzą od domu do domu. W Là Chatre, najmłodszego z rajców miejskich, przybranego w szatę pąsową z zielonem, sadzano na wołu i oprowadzano po mieście w pierwszy czwartek majowy.

* **Koty są tak rozpowszechnione** na kuli ziemskiej, że niema prawie zakątka, gdzieby ich nie było. Wyjątek stanowią niektóre wyspy na oceanie Spokojnym, na których nie znajdzie się ani jednego kota, na stałym lądzie zaś miasto Lendville w Colorado. Przyczyną tego jest zabójcza dla nich rozrzedzona atmosfera, wyniesiona na 10,200 stóp nad poziomem morza.

ŻARTY.

— Więc mąż was pobił, pani Maciejowa?

— Ani mnie trącił, panie sędzio.

— Przecież świadkowie widzieli, jak pani odgryzał kawałek ucha?

— Kłamią, panie sędzio, to ja sama niechcący w ucho się ukąsiłam.

Fryzyer: Radzę panu wziąć tę wodę na porost włosów; działa cudownie!

Łysy jegomość: Już jej próbowałem, lecz nic nie pomogła.

Fryzyer: Temu nie woda winna, tylko głowa pana dobrodzieja.

Ojciec panny: Możesz się pan żenić z moją córką, ale uprzedzam, że nie dostaniesz ani grosza aż po mojej śmierci.

Konkurent (lekarz): Przed stanowczą moją odpowiedzią, pan dobrodziej pozwoli się zbadać, jak z pana zdrowiem?

Sędzia: Dlaczego nie odniosłeś zaraz do policyi tego pugilaresu z pieniędzmi, który znalazłeś na ulicy?

Oskarzony: Było już zapóźno, panie sędzio.

Sędzia: To należało go odnieść nazajutrz rano.

Oskarzony: Kiedy rano już w nim nie było ani grosza.

Książę Northumberland, jeden z najbogatszych ludzi w Anglii, inaczej nie nie podróżuje tylko trzecią klasą. Raz urzędnicy kolejowi, chcąc mu wypłatać figla, umieścili w przedziale przezeń zajmowanym pasażerów o bardzo niemiłej powierzchowności: obdartusów, żydów hałatowych i t. p. Książę wysiadł na następnej stacyi, ale zamiast wejść do innego przedziału, kupił wszystkim obdartusom bilety do klasy pierwszej i w ten sposób pozbył się ich towarzystwa.

Dłużnik: Chociaż mi pan procesem grozisz, ja jednak nastręczę panu dobry interes.

Lichwiarz: Jaki? jaki? bardzo proszę...

Dłużnik: Właśnie potrzeba w menażeryi szakala; możesz się pan doskonale sprzedać.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.